

Aleksander Fiut

Guliwer XX wieku

Kulturowy i narodowy rodowód Czesława Miłosza od dawna nastroczał trudności. Polak czy Litwin? Tego rodzaju pytanie uporczywie poecie stawiano. Raz w dobrej wierze – w rezultacie kłopotów, jakie sprawia określenie jego tożsamości, a także z potrzeby uporania się z jej swoistością i wyłamywaniem się, także pod tym względem, z utartych schematów czy gotowych klisz. Innym razem – napastliwie, w poczuciu urażonej dumy narodowej, z ukrytą intencją zakwestionowania uczuć patriotycznych poety. Bo jakież to Polak, skoro podkreślał stale, że miejscem jego urodzenia była Litwa, a w swoich wierszach i esejach kreślił z nostalgią pejzaże tamtej właśnie ziemi? I jakież to Litwin, który nie znał litewskiego, nie tylko pisał swoje utwory literackie wyłącznie po polsku, ale też każdą niemal linią bezpośrednio i pośrednio dowodził głębokiej więzi, jaką zadzierzgnął i z polską literaturą, i z całą tradycją polskiej kultury? Miłosz doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że zarówno jego przynależność narodowa, jak i osadzenie w tradycji są węzłem, który zaiste niełatwo rozplątać. Zwykle powtarzał, że jego sytuacja przypomina sytuację poety irlandzkiego, który urodził się w Irlandii, ale pisze wyłącznie po angielsku oraz czerpie wzory z tradycji kulturalnej Albionu. Tego rodzaju przybliżenie jest bez wątpienia użyteczne, trochę wspomniany węzeł objaśnienia, jednakże do końca go nie rozplątuje.

Urodzony w 1911 roku w samym środku Litwy, w Szetejniach, niedaleko Kowna, we dworze dziadków, w którym od XVI wieku mówiono po polsku i kultywowano szlacheckie tradycje, podczas gdy okoliczna chłopska ludność była rdzennie litewska, Czesław Miłosz może być uznany za dosyć typowego przedstawiciela tej części europejskiego kontynentu. Dane mu było przy tym objąć swoim życiem najważniejsze doświadczenia całej epoki. Wczesne dzieciństwo spędził w regionie, który cywilizacyjnie i gospodarczo tkwił jeszcze w XIX wieku, natomiast ponad 20 lat spędził w Kalifornii, stanowiącej syno-

nim najwyższego technologicznego rozwoju. W tę klamrę wpisują się przeżyte bezpośrednio: I wojna światowa i rewolucja październikowa, rodzenie się i ekspansja faszystowskiego i sowieckiego totalitaryzmu, II wojna światowa, załamanie się systemu komunistycznego oraz rozpad Związku Sowieckiego.

Miłosz debiutował w 1930 roku, w Wilnie, gdzie ukończył prawo na Uniwersytecie im. Stefana Batorego i stał się współzałożycielem grupy poetyckiej Żagary oraz współredaktorem jej pisma. Atmosfera miasta, w którym, nawet na głównej jego ulicy, sąsiadowały z sobą synagoga, cerkiew i kościół katolicki, a na ulicach rozbrzmiewał język polski, litewski, białoruski, rosyjski i jidysz, miasta, które równocześnie troskliwie kultywowało swoje romantyczne tradycje – kształtowała wyobraźnię i światopogląd przyszłego poety. Zanurzenie w wielokulturowym tyglu wykształciło w nim tolerancję dla cudzej odmienności i wrogość wobec wszelkich przejawów wąskiego partykularyzmu, ksenofobii oraz szowinizmu. A przecież nie w Wilnie lat 30., rozrywanych przez narodowe waśnie, mieści się prawdziwa, wewnętrzna ojczyzna Miłosza. Pamięcią i wyobraźnią powracał on stale do okresu renesansu, w złoty wiek Wielkiego Księstwa Litewskiego, kiedy to panowały tolerancja religijna i obyczajowa, zaś rozmaite narody, żyjąc w pokojowej symbiozie, wzbogacały się nawzajem. Okres ten stał się dla poety nostalgicznym wzorem współistnienia dla narodów współczesnej Europy.

Miejsce urodzenia, genealogia społeczna i kulturowa oraz historyczne doświadczenia sprawiają, że Miłosz czuł się stale „gdzie indziej”. W Polsce podkreślał swoje litewskie zakorzenienie, we Francji przedstawiał się jako Słowianin, Amerykę oglądał oczyma mieszkańca Europy. Dystans, także wobec własnych ograniczeń i uwikłań, obdarzał go przenikliwością w interpretacji rozmaitych zjawisk społeczno-kulturowych. Świadectwem tego są *Rodzinna Europa* czy *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, w których poprzez opis Francji lat 30. i 50. oraz Kalifornii w czasie studenckiej rewolty '68 roku Miłosz docierał do źródeł zasadniczych przemian naszej cywilizacji. Socjologiczna intuicja pozwalała mu nadać własnym przypadkom życiowym sens ogólny. Odbywało się to przecież za cenę dotkliwego poczucia niezadomowienia, obcości, osamotnienia. Wydziedziczenie, objawiające się nie tylko w egzystencjalnej samotności jednostki, ale i w całej współczesnej cywilizacji, która zasypuje swoje chrześcijańskie źródła, uznał też poeta za fundamentalne zjawisko XX wieku.

Wszelako całym swoim życiem i pisarstwem Miłosz dowodził, że świadomość bycia „gdzie indziej” może przynieść niemałe korzyści. Chroni przede wszystkim przed uleganiem stadnym popędom. Szczególnie niebezpiecznym w kulturze polskiej, którą przez wieki kształtowały wzory szlacheckie. Miłosz całkowicie zgadzał się z Gombrowiczem, który zwykł powtarzać, że w Polsce zbiorowość jest silna, natomiast jednostka słaba i krucha. Układ to wyjątkowo groźny tam, gdzie pojawia się zrost nacjonalizmu z religią. Obronny

w okresie zaborów charakter polskiego katolicyzmu sprawił, że patriotyzm nierzadko był i jest mierzony nad Wisłą stopniem wierności Kościołowi i jego tradycjom, że sprowadza się głównie do zbiorowego rytuału oraz wyraża lekceważącym stosunkiem wobec zgłębiania problemów wiary. „Polak-katolik” to postać, którą Miłosz – poeta w najgłębszym sensie religijny, przyznający się przy tym otwarcie do przynależności do Kościoła rzymskokatolickiego – ze szczególną pasją zwalczał, dostrzegając w niej przejaw zarówno szowinizmu i braku tolerancji dla odmiennie myślących, jak też intelektualnego ubóstwa i lekceważenia okazywanego poważnemu traktowaniu zagadnień teologicznych.

Bycie „gdzie indziej” prowokuje do innego spojrzenia na mieszkańców tych zwłaszcza regionów Ziemi, które odznaczają się wieloetnicznością, wielokulturowością i różnorodnością wyznawanych religii. Zawiera się w nim nie tylko postulat tolerancji wobec obcych czy potrzeba samookreślenia nie poprzez język, kulturę bądź rasę, ale poczucie przynależności do tej samej ziemi. Równie ważne staje się przesłanie ochrony nawet najmniejszej zbiorowości ludzkiej oraz podtrzymywanie swoistości kultury heterogenicznej, zdolnej dzięki swojemu bogactwu i różnorodności śmiało konkurować z kulturami homogenicznymi. Przypadek Miłosza uzmysławia ponadto, jak istotną rolę odgrywa refleksja nad społeczno-politycznymi ramami, które tego rodzaju regionom Europy, czy nawet świata, mogłyby gwarantować zarówno zachowanie odrębności, jak też wewnętrzną symbiozę i bezkonfliktowy rozwój każdej grupy etnicznej składającej się na tę wielonarodową mozaikę. Przykładem tego byłoby choćby Wielkie Księstwo Litewskie w dobie renesansu.

Dystans, jakim obdarza bycie „gdzie indziej”, jest dotkliwy, a przecież skłania do przewartościowania samego pojęcia domu i sposobów samookreślenia. Zwłaszcza mieszkańca takich okolic, w jakich przyszło żyć Miłoszowi, kogoś, kto doświadczył nikczemności rasowych i klasowych podziałów oraz unicestwiającej potęgi państwa. Czy nie jest tak, zdaje się pouczać Miłosz, że tożsamość winna mieć charakter wielowarstwowy? Że można być równocześnie poetą polskim i patriotą ziemi litewskiej, obywatelem małego powiatu w zapomnianym zakątku Europy i pełnoprawnym obywatelem całego kontynentu, Środkowoeuropejczykiem, a zarazem mieszkańcem globalnej wioski? Innymi słowy, tożsamość – etniczna, narodowa, kulturowa – nie jest nam raz na zawsze dana, lecz zadana; nie została z góry określona, lecz stanowi etyczny postulat do wypełnienia.

Dla lepszego zrozumienia postawy Miłosza oraz jego artystycznej strategii przydatna będzie w tym miejscu, jak sądzę, pewna – na pierwszy rzut oka zaskakująca – paralela. Życie i dzieło polskiego poety nieodparcie przywodzą na myśl biografię Jonathana Swifta oraz jego *Przygody Guliwera*. Miłosz mógłby przecież nader obficie obdzielić bohatera słynnej powieści perypetiami własnego losu: tyle w jego życiu katastrof, z których cudem uszedł cało, niespo-

dziewanych zakrętów, niebezpiecznych ucieczek oraz radykalnych odwróceń punktu widzenia. Podobnie jak Guliwer poznał względnosc miar i niepewność ocen, na własnej skórze doświadczył najgorszych wynaturzeń społecznych i politycznych instytucji, napotkał szereg obłądnych idei oraz dziwacznych, a w skutkach zabójczych pomysłów naprawiania świata. Definitywnie pożegnał się także z przeświadczeniem o przyrodzonej dobroci ludzkiej natury, odkrywając zło utajone tyleż w duszy każdego człowieka, ile w szlachetnych na pozór utopiach oraz w trybach państwowej maszyny. Bezbronny wobec przemocy, ogołocony z wszelkich wiar, miał za obronę przenikliwy umysł, moralną wrażliwość, odruch współczującego serca oraz zdrowy rozsądek.

Skojarzenie zupełnie dowolne? Chyba nie do końca, skoro w *Rodzinnej Europie*, opisując swoje wrażenia z wizyty w Polsce w 1949 roku, Miłosz uważa, że

gospodarka podporządkowana wymogom ideologii podnosiła włosy na głowie. Zastosować do niej można było spostrzeżenia Guliwera w kraju Balnibarbów, administrowanym przez światłą Akademię Wynalazców, gdzie „ludzie mieszkający na górze są tak zatopieni w swoich spekulacjach, że nie myślą wcale, co się tu na dole dzieje” i gdzie „lud, okryty łatanami, chodzi po ulicach krokiem niepewnym, z twarzą dziką i oczami wytrzeszczonymi” (Miłosz 2001: 314).

Przypomnę, że tuż po wojnie w poetyckim liście *Do Jonathana Swifta*, opisując swoje życiowe perypetie jako podróż śladami Guliwera, wspomina, iż zawędrował na „ziemie Brobdingnagu” i na „wyspy Laputy” oraz było mu dane poznać „plemię Jahu, (...) Żyjący w niewolniczym strachu / Donosielski ród wyklęty” (Miłosz 2002: 7). Aluzje do pobytu Guliwera na wyspach Laputy powracają także w *Traktacie moralnym*, gdzie mowa o tych, którzy „w garnek tom encyklopedii / Kładą: że niby będą jedli” (Miłosz 2002: 87).

Co sprawiało, że powieść Swifta tak silnie, zwłaszcza zaraz po wojnie, przemawiała do wyobraźni Miłosza? Przytoczone cytaty pozwalają przypuszczać, że, wzorem autora *Przygód Guliwera*, użył figuralnego języka ezopowego, by wyrazić opinie oficjalnie zakazane lub trudne do bezpośredniego wypowiedzenia. Czyż to nie pobyt Guliwera w kraju Olbrzymów przypominała mu podróż przez Związek Sowiecki w 1940 roku, kiedy doświadczył „drżenia małego przed wielkim”¹, bezbronności jednostki w obliczu miazdzącej potęgi państwa totalitarnego oraz bolesnego upokorzenia wobec przemocy? Na przedstawicieli „plemienia Jahu” dostatecznie napatrzył się podczas hitlerowskiej okupacji i w okresie inwazji sowieckiej na Polskę. „Akademię Wynalazców” – tych, co „w garnek tom encyklopedii kładą” – do złudzenia przypominały wkuwające na pamięć doktrynę stalinowską szkoły partyjne

¹ W brzmieniu oryginalnym: „Trieplet małego pieried bolszym” (Miłosz, *Trwoga-sen* (1918), w: Miłosz 2004: 195).

oraz katedry marksizmu i leninizmu na ówczesnych uniwersytetach. Poeta miał tutaj na myśli marksistowskich ideologów doby stalinowskiej, arogancko, z przekonaniem o własnej wyższości odwróconych od tzw. prostych ludzi, niedostrzegających przepaści dzielącej doktrynę od praktyki społecznej, utopii od rzeczywistości.

Z pewnością bliska była Miłoszowi wizja życia jako nieustannej, fascynującej, choć nierzadko ryzykownej wędrówki, która radykalnie przemienia widzenie rzeczywistości, a także wyobrażenie o sobie samym. Jego ówczesnemu nastrojowi odpowiadała bezwzględna demaskatorska siła, powściągnięta pasja i gorzkie szyderstwo ukryte w pozornie neutralnej narracji. Świadczą o tym wymownie przytoczone aluzje oraz słowa z wiersza *Do Jonathana Swifta*:

Niepojętego zaślepienia
Na oczach nie nosiłem wstążki.
I szczerą wściekłość opromienia
Moje rozliczne obowiązki.

(Miłosz 2002: 8)

Podobną metodą posłużył się Miłosz również w *Zniewolonym umyśle* i *Zdobyciu władzy*. Książki te czytane razem z *Rodzinną Europą* oraz *Ziemią Ulro* układają się w opowieść o przygodach Guliwera XX wieku. Opowieść o zniewoleniu świadomości przez ideologię, zniewoleniu kraju przez najeźdźcę, zniewoleniu wyobraźni przez stereotypy oraz zniewoleniu wizji świata przez fałszywe teorie naukowe. Jest to opowieść o zniewoleniu, ale zarazem – o uwolnieniu się od niego poprzez wnikliwą analizę właściwych mu mechanizmów. Podobnie jak u Swifta, który wierzył, że jego dzieło przyczyni się do ulepszenia świata, również u Miłosza satyra wymierzona zarówno w totalitaryzm, jak i demokrację, w mocno ugruntowane, choć schematyczne sposoby postrzegania Europy Wschodniej przez jej zachodnioeuropejskich sąsiadów, a także w tradycję postnewtonowską – stawała się pośrednio formą obrony przeświadczeń i wartości uznawanych za najważniejsze. Nie przypadkiem na wezwanie Swifta:

Dopóki niebo jest i ziemia
Dla nowych Miast gotuj przystanie.
Poza tym nie ma wybaczenia.

pada odpowiedź:

Będę się starać, mój dziekanie.

(Miłosz 2002: 9)

Dlatego w *Zniewolonym umyśle* przed pokusami Nowej Wiary oraz historycznym fatalizmem chroni współczucie dla uciemnionych oraz nakaz

moralny. W *Zdobyciu władzy* poczuciu bezsilności wobec brutalnego podboju Polski przez Armię Czerwoną oraz wprowadzeniu systemu komunistycznego przeciwstawia się wiara w przetrwanie kulturowego dziedzictwa pomimo czekających kraj wielu lat politycznej niewoli i ideologicznej indoktrynacji. W *Rodzinnej Europie* nie wygasa silne przeświadczenie, że mimo pojałtańskich podziałów Europa pozostaje wspólnym domem dla wszystkich jej mieszkańców – niezależnie od tego, po której stronie żelaznej kurtyny się znaleźli. Wreszcie w *Ziemi Ulro* pojawia się perspektywa zasypania kilkulekowej rozpadliny między wizją świata kreowaną przez najnowszą naukę a jego wyobrażeniem zgodnym z katolickim antropocentryzmem.

Pokrewieństwa między Miłoszem i Swiftem sięgają jednakże znacznie dalej i głębiej. Pełne paradoksów położenie autora *Podróży Guliwera* – podobnie jak Edmunda Burke’a – interesująco przedstawia Carole Fabricant (2005: 309–337). Jak pisze, Swift, urodzony w katolickim Dublinie, ale wychowany w tradycjach protestanckich, był pod wieloma względami bardziej angielski niż irlandzki. Ale zarazem nieustępliwie towarzyszyło mu poczucie wyobcowania. Już jako uczeń Trinity College, który z trudem ukończył, półsierota, pozbawiony własnych dochodów, zdany właściwie na finansową pomoc krewnych, nie odczuwał żadnej bliższej więzi ze swymi zamożnymi kolegami. Twierdził nawet, że więcej zawdzięczał Anglikom podczas swojego kilkutygodniowego pobytu w Oksfordzie, gdzie otrzymał stopień magistra, niż rodakom podczas siedmiu lat spędzonych w Dublin College. W listach z Irlandii charakteryzował siebie jako „obcego na obcej ziemi”, a własne położenie uznawał za „mroczne wygnanie w najbardziej zapożyczonym i zniewolonym kraju” (Fabricant 2005: 310). Nigdy wszakże nie uznał Anglii za swój dom, podkreślając przesady i wrogość, z jaką spotyka się Irlandczyk po przekroczeniu kanału. Jego zdaniem Anglicy postrzegają Irlandię jako „kraj bagien, zamieszkiwany przez dzikich papistów i trzymany w postrachu przez wysłane stąd najemne oddziały” (Fabricant 2005: 310–311). Dlatego, przypominając własne upokorzenia, ubolewał, że jego rodacy przenoszą się do Anglii. Nie dziwi zatem, kontynuuje badaczka, że Swift stworzył postać Guliwera, człowieka, który „z definicji czuje się obcy, gdziekolwiek się znajdzie, i który nie jest zdolny odzyskać poczucia zadomowienia nawet po powrocie do Anglii” (Fabricant 2005: 311).

W *Podróżach Guliwera* Swift stworzył gabinet krzywych luster, w którym przegląda się ówczesne angielskie społeczeństwo: wpieryw ironicznie demaskuje głównego bohatera, który nader naiwnie i prostodusznie wychwala dobrodziejstwa ustroju swej ojczyzny, nie dostrzegając jego wynaturzeń i wad. Następnie ośmiesza owe wady poprzez skonfrontowanie anomalii ustrojowych Anglii z systemem norm obowiązujących w krainach odwiedzanych przez Guliwera. Wreszcie, w formie alegorycznej, dezawuuje wszelkie formy cywilizacji, ostatecznie przedstawiając ludzi jako rasę Jahu – człekokształtne

stwory, dzikie, zbrodnicze i nikczemne, gorsze od koni, ucieleśniających wszelkie najwyższe, najszlachetniejsze cnoty i przymioty.

U Miłosza stopień komplikacji jest znacznie większy. Narratora *Rodzinnej Europy*, z którym autor utożsamia się jedynie do pewnego stopnia, wyposażono w ostrą samoświadomość oraz zdolność autoanalizy, której z pewnością brak Guliwerowi. Jak powiada Miłosz we wstępie: „Jeżeli chcę pokazać, kim się jest, pochodząc ze wschodu Europy, czy mogę to zrobić inaczej niż opowiadając o sobie? Owszem, mógłbym stworzyć postać fikcyjną i w jej biografii zamknąć obserwacje zrobione na sobie i na innych” (Miłosz 2001: 15). Tak właśnie postąpił Swift, ukrywając swoje autorstwo pod nazwiskiem Lemuela Guliwera. Miłosz tej metody poniechał, obawiając się, że musiałby wówczas zrezygnować z przedstawiania szczegółów mniej typowych, wprost wywiezionych z osobistego doświadczenia. Postuluje zatem odmienny sposób auto-prezentacji:

Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zamiast wysuwać na pierwszy plan jednostkę, dbać przede wszystkim o tło i patrzeć na siebie jako na obiekt socjologiczny. Wewnętrzne przeżycia, tak jak zachowały się w pamięci, będą wtedy oceniane w perspektywie przemian, jakim poddane było środowisko (Miłosz 2001: 16).

Trudno się przecież oprzeć wrażeniu, że mimo tych zastrzeżeń Miłosz, nawet w tym socjologicznym przebraniu, był do Guliwera bardzo podobny. Nie tylko dlatego, że – podobnie jak bohater Swifta – przeżywał przygody, które burzyły jego przyzwyczajenia, wniwecz obracały utrwalone sposoby postrzegania i oceny świata, ale także z tego powodu, że zmuszony był nieustannie do wyjaśniania innym – ale i sobie – kim jest i skąd pochodzi. Jego tożsamość stała stale pod znakiem zapytania. Musiał ponadto sprostać próbie relatywizacji własnych, naturalnych z pozoru, sposobów widzenia rzeczywistości. Wystarczy wspomnieć doświadczenia Guliwera w krainie Liliputów i Olbrzymów. Miłosz również natrętnie niemal stawiał sobie pytanie, kim jest. Zwłaszcza że – czy to w Związku Sowieckim, czy w okupowanej przez hitlerowców Warszawie, czy we Francji, czy w Stanach Zjednoczonych – za każdym razem rzucony został w nieznanne mu otoczenie, w świat, który wydał mu się całkowicie obcy, wręcz egzotyczny. Nieraz bardziej obcy niż fantastyczne krainy zwiedzane przez Guliwera. W sowieckiej Rosji doświadczył „smutku zimnego, owadziego piekła”². Podczas okupacji obserwował przeniesione na ulice stolicy Polski prawa dżungli, wedle których przeżywa tylko najsilniejszy lub najlepiej przystosowany. We Francji jego zdumienie i moralną odrazę budziła obłuda zafascynowanych komunizmem elit. W Stanach Zjednoczonych zaskoczyła go bezrefleksyjna egzystencja, jak gdyby uwolnio-

² Cz. Miłosz, List do Jarosława Iwaszkiewicza z 28 V 1940 (Miłosz 2011: 72).

na od ciężaru historii, skupiona wyłącznie na walce o pieniądź oraz uznająca urządzenia społeczne za tak trwałe jak natura.

Generalnie rzecz biorąc, znajdował się w sytuacji znacznie trudniejszej niż Guliwer. Nie przybywał z nieznanego obszaru planety, lecz z tego samego kontynentu. Sam Europejczyk musiał innym Europejczykom dowieść, że jest – może trochę od nich odmiennym – także Europejczykiem! Ojczyzną Guliwera była Anglia, potężne światowe imperium; ojczyzna Miłosza leżała tam, gdzie na niebyt lub byt pozorny skazywały ją niewiedza, chłodna obojętność bądź jawna i tajona niechęć, którą okazuje się temu, co mało znane, a przez to niepokojące. Mieszkańcy odwiedzanych przez Guliwera krain nic nie wiedzieli o jego ojczyźnie, nie mieli o niej najmniejszego wyobrażenia; mieszkańcy Europy Zachodniej, z którymi spotykał się Miłosz, ulegali z dawniejszym stereotypom i uprzedzeniom.

Najbardziej zawinił Wolter. To on, jak przekonywująco dowodzi Larry Wolff w swojej znakomitej książce pod znamienym tytułem *Inventing Eastern Europe* (1994), utrwalił w świadomości zachodniej Europy paradygmat postrzegania jej wschodnich sąsiadów. Filozof, który nigdy tych krajów nie odwiedził, a najdalej wyprawił się z Paryża do Berlina, w 1731 roku wydał *Histoire de Charles XII*, dzieło, które okazało się w tej mierze wyjątkowo brzemienne w skutki. To Wolter „sugerował, że istnieje możliwość podwójnej Europy” (Wolff 1994: 90)³, przy czym tradycyjną oś północ–południe zastąpił osią zachód–wschód. Odtąd zasadą pojmowania Europy Wschodniej stało się przeświadczenie o jej zacofaniu cywilizacyjnym, względnym podobieństwie jej mieszkańców oraz określanie ich tożsamości przez odwoływanie się do ich starożytnych przodków – Sarmatów i Scytów, co od razu spychało tę część kontynentu na niższy stopień rozwoju. Dawało również pożywkę – zwłaszcza w okresie romantyzmu – dla rozmaitych fantazji. Przecież to na tamtych terenach baron Münchhausen walczył dzielnie z wilkami i niedźwiedziem, to tam grasował Drakula! Dla Woltera, a także jego następców to, co „słabo znane”, oznaczało „mniej ucywilizowane” (Wolff 1994: 91)⁴, określało niejasną sferę „pomiędzy dzikością i barbarzyństwem z jednej strony a naśladownictwem i cywilizacją z drugiej” (Wolff 1994: 96)⁵. Czyli przestrzeń domagającą się eksploracji, ale też podboju i podporządkowania potężnym sąsiadom.

Czy i tutaj nie odsłania się zaskakujące podobieństwo Swifta i Miłosza? Obydwaj byli przecież szczególnie wrażliwi na los ludów kolonizowanych. Autor *Przygód Guliwera* może być zapewne uznany za jednego z prekursorów

³ W oryginale: „suggested the possibility of a double Europe”.

⁴ W oryginale: „scarcely known”, „less civilized”.

⁵ W oryginale: „between wildness and barbarism on the one hand, and emulation and civilization on the other”.

postkolonializmu! W ostatnim rozdziale swojej powieści z całą bezwzględnością zdemaskował praktyki kolonialne, używając przy tym dosyć przewrotnego zabiegu. Krzywe zwierciadła oddały mu tutaj wyjątkową przysługę. Bo oto Guliwer, odpierając potencjalny zarzut, że nie wcielił do brytyjskiej korony odwiedzanych ziem, wyznaje, iż powstrzymała go od tego wiedza o tym, że w koloniach zazwyczaj „daje się wolną rękę wszystkim uczynom nieludzkim i grabieżczym, a ziemia spływa krwią swych mieszkańców” (Swift 1979: 314). Dodając: „Owa ohydna zgraja rzeźników użytych do tak świątobliwej wyprawy są to *współcześni kolonizatorzy*, wysłani, by nawrócić i ucywilizować barbarzyński i bałwochwalczy lud” (Swift 1979: 314–315). Jednakże natychmiast z całą skwapliwością zaprzecza, by te nieczne praktyki charakteryzowały królestwo brytyjskie! Gdyż, jak twierdzi, jedyną troską jego ojczyzny jest dobro poddanych, o czym świadczą szczodre nakłady na rozwój nauki i religii również na terenach zamorskich, a także

wybór pobożnych i uczonych pasterzy dla rozkrzewiania *Chrześcijaństwa*, (...) pilne przestrzeganie wymiaru sprawiedliwości, obsadzanie administracji cywilnej najzdolniejszymi urzędnikami odpornymi na przekupstwo, a dla ukoronowania wszystkiego: wysyłanie tam najczujniejszych i najcnotliwszych gubernatorów, którzy nie znają innych pragnień, prócz uszczęśliwiania ludów, nad którymi sprawują pieczę, i honor Króla, będącego ich panem (Swift 1979: 315).

Jadowite szyderstwo Swifta jest wyrazem moralnego oburzenia kogoś prawdziwie współczującego. Zwłaszcza że równocześnie, jako Irlandczyk, był zarówno dzieckiem angielskich kolonizatorów, jak i jednym z kolonizowanych.

Miłosz na własnej skórze doświadczył tego, co to znaczy być kolonizowanym. Podział Europy Środkowej dokonany przez Hitlera i Stalina na mocy traktatu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku, a następnie, wskutek umowy zawartej w Jałcie w lutym 1945 roku, oddanie Związkowi Sowieckiemu połowy europejskiego kontynentu nazwał wprost formą kolonizacji. Często też używał terminologii postkolonialnej. Już w *Zniewolonym umyśle* porównywał odczucia Litwinów, którzy stali się przedmiotem inwazji sowieckiej antycywilizacji w latach 1939–1940, z szokiem, jakiego musieli doświadczyć nadzy mieszkańcy Ameryki Południowej w spotkaniu z zakutymi w zbroje i wyposażonymi w broń palną hiszpańskimi konkwistadorami. W *Rodzinnej Europie* wspominał dotkliwe upokorzenie, jakiego doznał, gdy gestapowiec uderzył go w twarz za to, że – jako przedstawiciel gorszej rasy – nie ustąpił mu drogi na chodniku i nie zdjął przed nim czapki. Cudem uniknął także aresztowania podczas polowań na ludzi odbywających się na ulicach okupowanej Warszawy.

Za swoje pierwsze wtajemniczenie w kolonializm Miłosz uznał Wystawę Kolonialną w Paryżu w roku 1931. W *Rodzinnej Europie* wspominał, że przedstawianie reprezentantów egzotycznych kultur niczym zwierząt

w zoo poruszyło go do głębi i skłoniło do postawienia całego szeregu zasadniczych kwestii, których waga nie wygasa do chwili obecnej: „Zdobyli swoje kolonialne imperium późno, wtedy kiedy my klękaliśmy w podziwie przed ich kulturą, przed pięknem ich ksiązek, przed doskonałością ich malarstwa. Ale kim byli ci przebywający tutaj w najwyższych duchowych rejestrach?” (Miłosz 2001: 189). W jaki sposób godzili w swojej świadomości i sumieniu wiedzę o tym, że ceną bogactwa, które zapewniało im wolność i swobodę twórczą, także wówczas, gdy się buntowali przeciwko własnemu państwu, były karne ekspedycje w koloniach, wycinające nieraz w pień ich mieszkańców? Jak zauważa Miłosz: „Ich gorycz i nihilizm opierały się na cichej umowie o innych miarach stosowanych do czynu i do myśli (...). Inny naród, pozwalając sobie na takie porcje trucizn, dawno przestałby istnieć, ich zdrowiu to służyło” (Miłosz 2001: 189). Najbardziej zdumiewający dla przybysza z Europy Wschodniej okazywał się „sekretność równowagi” (Miłosz 2001: 190) pomiędzy poczuciem współodpowiedzialności za cierpienie milionów ludzi stojących niżej na drabinie społecznej a hipokryzją artysty, który tej wiedzy nie chciał dopuścić do swej świadomości w obawie, że porazi jego sztukę.

Miłosz, pisząc w *Rodzinnej Europie*, że wzrastał w mieście pełnym pięknych barokowych kościołów, że poznawał w szkole średniej kulturę starożytną i uczył się łaciny, że wychowany w katolicyzmie na uniwersytecie zapoznawał się z marksizmem – nie wykraczał zbytnio poza przeciętną biografię Zachodnioeuropejczyka w XX wieku. Jakby chciał podkreślić: „Jestem do was podobny”. Czasami jednak – zwłaszcza wtedy, kiedy mierzył się z ambivalencją świadomości Wschodnioeuropejczyka – w swojej samoocenie nieoczekiwanie stawał się bliższy wyobrażeniom utrwalonym na Zachodzie od czasów Woltera. Działo się tak również wówczas, gdy rezygnując z metody gromadzenia wymownych szczegółów, próbował uogólnieć. Kiedy charakteryzował swoją mentalność jako typową mentalność mieszkańca Europy Wschodniej, wymieniał takie jej cechy, jak „łapczywość umysłowa, namiętność w dyskusji, zmysł ironii, wyobraźnia przestrzenna” – które czyniły go podobnym do współbraci na Zachodzie. Ale kiedy wyznawał, że właściwy jest mu także brak formy oraz „rządzi nim nagły przyptyw albo odpływ wewnętrzznego chaosu” (Miłosz 2001: 80) – stawał się z powrotem kimś innym, obcym, zagadkowym i nieobliczalnym. Czyli jak gdyby jedynie potwierdzał dawne stereotypy.

Wskazywał wszakże, że granica pomiędzy Wschodem i Zachodem nie przebiega jedynie w przestrzeni geograficznej lub w sferze uprzedzeń, lecz złobi świadomość każdego mieszkańca Europy Wschodniej. Z tego punktu widzenia kluczowe okazuje się stwierdzenie o „braku formy”, który bierze się stąd, że – jak wyjaśnia dalej Miłosz – mieszkaniec Europy Wschodniej jest zanurzony w przestrzeń wielokulturową. Dodaje:

Forma potrzebuje chyba pewnej ilości powszechnie przyjętych pewników, jakiegoś tła konformizmu, przeciwko któremu można się buntować, niemniej zakreśla ona ramy silniejsze niż świadomość. W moim otoczeniu brakło nawet jednolitego gestu, towarzyskiego przepisu, jasnych reguł zachowania się przy stole. Prawie każdy spotykany człowiek był inny, nie przez jemu tylko właściwą swoistość, ale jako przedstawiciel zespołu, klasy czy narodu (Miłosz 2001: 80–81).

Podczas gdy bohater Swifta pozostawał sobą niezależnie od przygód, jakich doznawał, bowiem niczym busola wiodły go wzory zachowań i postrzeżenia świata, które zawdzięczał swojej epoce i swojemu krajowi, jego dwudziestowieczny następcą był stale narażony na chwiejność norm nie tylko w swoim otoczeniu, ale i w samym sobie. Tamten dysponował formą cywilizacyjną mocno utrwaloną i z takiej perspektywy postrzegał również nawet fantastyczne cywilizacje – ten zaś stale cierpiał na brak formy wewnętrznej i zewnętrznej. „Polak litewski” (*Żywoćnik*, Miłosz 2005: 291) Miłosz – podobnie jak Anglo-Irlandczyk Swift – może być nazwany „obcym na obcej ziemi”, a obydwa pozostają nieustannie „gdzie indziej”.

Po burzliwych przygodach Guliwer odnalazł przystań w rodzinnym domu, chociaż, naznaczony doświadczeniami, inaczej już patrzył na swoje otoczenie: nawet u najbliższych dostrzegał rysy krwiożerczych Jahu. Jak pisze Fabricant, w scenie, w której Guliwer do tego stopnia odrzuca swą naturę, że z przerażeniem i odrazą odwraca się nawet od własnego odbicia w wodzie, można dostrzec wyobrażenie „niedoli Anglo-Irlandczyka, który patrząc w lustro, rozpaczliwie pragnie ujrzeć siebie albo jako Anglika, albo jako Irlandczyka, co gorzej – postrzega siebie jako brytyjską wersję Irlandczyka lub jakąś potworną hybrydę wyszczerzającą na niego zęby” (Fabricant 2005: 314).

Miłosz także powrócił do ojczyzny, choć już nie do rodzinnego domu. Jego ojczyzną stało się nade wszystko kulturowe dziedzictwo Europy. Jak wyznaje w *Rodzinnej Europie*:

W swój ciepły uścisk brała mnie Europa i jej kamienie ciosane ręką minionych pokoleń, tłum jej twarzy wylaniających się z rzeźbionego drzewa, z malowideł i złotem wyszywanych tkanin koify, włączały mój głos pomiędzy jej stare wezwania i przysięgi, pomimo mego buntu przeciwko jej rozdarciu i chorowitości. Pomimo wszystko, rodzinna Europa. (...) Polska i Dordogne, Litwa i Sabaudia, uliczki Wilna i uliczki Quartier Latin zrastały się w jedno, nie byłem przecie nikim innym niż Grekiem, który przeniósł się z jednego do drugiego miasta. Rodzinna Europa przebywała we mnie ze swoimi górami, lasami i stolicami i ta mapa uczuciowa przesłaniała zbyt doraźne kłopoty (Miłosz 2001: 326–327).

Tożsamość poddana nie tylko próbie konfrontacji ze zmieniającym się otoczeniem językowym i kulturowym, ale także rozsadzana od wewnątrz ładunkiem wielokulturowości, nieoczekiwanie zbliża narratorkę *Rodzinnej Europy* do okresu po 1989 roku. Kiedy rozpadła się żelazna kurtyna, zniknęły

dawne granice, zabliznia się rozdarciem, a do Europy Zachodniej wlewa się szeroki strumień przybyszów z innych krajów, również z Europy Wschodniej. Ta nowa Europa zaczyna do złudzenia przypominać Wilno z okresu młodości Miłosza. Tak mu doskwierający brak formy stał się powszechną normą, skoro – wedle słów Zygmunta Baumana – zapanowała „płynna nowoczesność” (por. Bauman 2006). Oczywiście, nawet w dobie globalizacji nadal nie tracą znaczenia ostrzeżenia Swifta przed rozmaitymi odmianami utopii, perswazyjną siłą idei oderwanych od życia, ślełą wiarą w naukowe odkrycia czy bezkrytycznym kultem rozumu. Wciąę nie brak potomków plemienia Jahu. Ale współczesny Guliwer może odnaleźć schronienie nie tylko w swojej ojczyźnie, ale też uznać za nią, pełnoprawnie, całą Europę – mimo jej „rozdarcia i chorowitości”.

W znacznie krótszej wersji ten tekst ukazał się jako: *Przygody Guliwera XX wieku*, „Zeszyty Literackie” 2011, nr 116, s. 99–106.

Bibliografia

- Bauman Z. (2006). *Płynna nowoczesność*, przeł. T. Kunz. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Fabricant C. (2005). *Colonial Sublimities and Sublimations: Swift, Burke, and Ireland*. „ELH”, t. 72, s. 309–337.
- Miłosz Cz. (2001). *Rodzinna Europa*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Miłosz Cz.. (2002). *Wiersze*, t. 2. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Miłosz Cz. (2004). *Wiersze*, t. 4. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Miłosz Cz. (2005). *Wiersze*, t. 5. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Miłosz Cz. (2011). *Rosja. Widzenia transoceaniczne*, t. 2: *Mosty napowietrzne*. Wybrała, oprac. i ułożyła w tom B. Toruńczyk, współpraca M. Wójciak, M. Nowak-Rogoziński, wstęp M. Kornat. Warszawa: Zeszyty Literackie.
- Swift J. (1726/1979). *Podróże do wielu odległych narodów świata. W czterech częściach, przez Lemuela Gullivera, początkowo lekarza okrętowego, a następnie kapitana licznych okrętów*, przeł. M. Słomczyński. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Wolff L. (1994). *Inventing Eastern Europe. The Map of Civilization on the Mind of the Enlightenment*. Stanford: Stanford University Press.